



# Prawdziwy człowiek

Osobista opowieść  
o dorastaniu i edukacji  
w autyzmie

Gunilla Gerland



ABC

a Wolters Kluwer business

# Prawdziwy człowiek

Osobista opowieść  
o dorastaniu i edukacji  
w autyzmie

Zamów książkę w księgarni internetowej

**profinfo.pl**  
księgarnia internetowa

Gunilla Gerland

Tłumaczenie  
Hania Uscka-Wehlou



a Wolters Kluwer business

Warszawa 2015

## W SERII „INSPIRACJE EDUKACYJNE” UKAZAŁY SIĘ:

GŁOS UCZNIĄ. INSTRUMENT DOBRYCH ZMIAN W EDUKACJI

Russell J. Quaglia, Michael J. Corso

DYREKTOR SZKOŁY LIDEREM – INSPIRACJE I PERSPEKTYWY

Joanna Madalińska-Michalak

DYREKTOR SZKOŁY – MODERATOR, FACYLITATOR, COACH

Jarosław Kordziński

KOMPETENCJE TRENERSKIE W PRACY NAUCZYCIELA.

JAK ZMOTYWOWAĆ UCZNIĄ DO NAUKI

Lilianna Kupaj, Wiesława Krysa

KOMPETENCJE COACHINGOWE NAUCZYCIELI.

JAK ROZWIJAĆ POTENCJAŁ UCZNIĄ W SZKOLE

Lilianna Kupaj, Wiesława Krysa

ZARZĄDZANIE WIEDZĄ W TWORZENIU KONKURENCYJNOŚCI SZKOŁY

Regina Lenart

ISTOTA UCZENIA SIĘ. WYKORZYSTANIE WYNIKÓW BADAŃ W PRAKTYCE

Redakcja Hanna Dumont, David Istance, Francisco Benavides

KOMPETENCJE EMOCJONALNE NAUCZYCIELA

Joanna Madalińska-Michalak, Renata Góralska

ZDROWE KIEROWANIE KLASĄ. MOTYWACJA, KOMUNIKACJA, DISCYPLINA

Raymond M. Nakamura

BELFER NA HUŚTAWCE. O AUTORYTECIE NAUCZYCIELA

Lucyna Bojarska

ABY ŻADNE DZIECKO NIE POZOSTAŁO W TYLE. EDUKACJA W USA

Thomas Wolanin

PIERWSZY ROK NAUCZANIA. JAK OSIĄGNĄĆ SUKCES

Richard D. Kellough

PROFESJONALIZM W UCZENIU. JAK OSIĄGNĄĆ SUKCES

Beth Hurst, Ginny Reding

Tytuł oryginału  
*En riktig människa*

Wydawca serii  
*Elżbieta Piotrowska-Albin*

Wydawca  
*Izabella Matecka*

Redaktor prowadzący  
*Ewa Fonkowicz*

Opracowanie redakcyjne  
*Maria Prosińska-Jackl*

Łamanie  
*Kamila Tomecka*

Ta książka jest wspólnym dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, byś przestrzegał przysługujących im praw. Książkę możesz udostępnić osobom bliskim lub osobiście znanym, ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A jeśli musisz skopiować część, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni

SZANUJMY PRAWO I WŁASNOŚĆ  
Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)  
POLSKA IZBA KSIĄŻKI

© 1996 Gunilla Gerland  
First published by Cura Förlag  
Published by arrangement with Arx Foreign Right Service, Sweden.

© Gunilla Gerland och Studentlitteratur 2010

© Copyright for the Polish edition by Wolters Kluwer SA, 2015

ISBN 978-83-264-3499-0

Wydane przez:  
Wolters Kluwer SA

Dział Praw Autorskich  
01-208 Warszawa, ul. Przyokopowa 33  
tel. 22 535 82 19  
e-mail: [ksiazki@wolterskluwer.pl](mailto:ksiazki@wolterskluwer.pl)  
[www.wolterskluwer.pl](http://www.wolterskluwer.pl)  
księgarnia internetowa [www.profinfo.pl](http://www.profinfo.pl)

Zawsze miałam uczucie, że czegoś do końca nie rozumiem. To uczucie było nieustające i wszędzie za mną podążało. Nawet gdy już sporo rozumiałam, zawsze pozostawało to coś – samo sedno – jaka logika rządzi tym wszystkim? Rozmyślałam i zastanawiałam się, wysilałam się bardzo, a później jeszcze bardziej. Świat był przypadkową, wciąż zmieniającą się zagadką. Rzeczy wydarzały się nagle, pojawiały się znikąd. Ale jak? Dlaczego?

Czasami wszystko stawało się tak niezrozumiałe, że nie znajdowałam nawet końca nitki, żeby w ogóle móc zacząć dochodzić do kłębka. Wtedy zapadałam się w sobie. Nie znałam ani pytania, ani odpowiedzi i nie potrafiłam tego nikomu przekazać. Stan ten był jedynie kolorem w moim wnętrzu, a wyglądało na to, że nikt oprócz mnie nie operował kolorami. Ja sama miałam wewnętrzny system kolorów, który umożliwiał mi łączenie ze sobą informacji pochodzących z różnych światów – ze świata pokoju dziecinnego i ze świata ogrodu. Wszystko kodowało się we mnie barwami – ludzie, słowa, uczucia i nastroje. Niemożność zrozumienia miała kolor bladopomarańczowy, to jest jasny pomarańczowy prześwietlony przez słońce. Zmęczenie i niemożność podejmowania dalszych prób zrozumienia kładły się ciemnozielonym kolorem na tym pomarańczowym świetle i gasiły je.

Świat jadalni, świat kuchni i świat przedpokoju nie miały ze sobą nic wspólnego, dopóki nie połączyłam ich za pomocą jakiegoś koloru. Jeżeli mama powiedziała coś na fioletową nutę w kuchni, a dwa miesiące później użyła tego samego fioletowego tonu w łazience, to kuchnia i łazienka zyskiwały łączność i zaczynałam się wtedy doszukiwać dalszych podobieństw między tymi miejscami, jak na przykład to, że i w jednym, i w drugim był dostęp do wody. Pierwsze powiązanie dostrzegałam jednak zawsze poprzez barwę.

Posiadanie systemu kolorów, które wiązały ze sobą składniki życia, było dla mnie na ogół pomocne, ale niekiedy przysparzało też problemów. Jeżeli już połączyłam jakieś dwa elementy

na podstawie kolorów, to odejście od przekonania, że te dwa elementy przynależą do siebie, bywało dla mnie niesłuchanie trudne, nawet jeżeli nie znajdowałam żadnych innych powiązań między nimi. Potrafiłam wtedy włożyć mnóstwo energii w próby znalezienia czegoś, co by jednak potwierdziło ów związek. A przecież te elementy mogły ze sobą nie mieć kompletnie nic wspólnego.

Kerstin, chociaż była o trzy lata starsza ode mnie, miała ze mną wspólny język – język, który nie składał się z samych słów. Wydawało się, że Kerstin dostrzegała zarysy tego, co rzeczywiście było mną, i potrafiła służyć jako łącznik w komunikacji pomiędzy mną a naszymi rodzicami. Mama i tata bowiem, w przeciwieństwie do niej, widzieli chyba jakieś inne dziecko, gdy na mnie patrzyli. Kerstin stała się moim rzecznikiem, gdyż w jakiś intuicyjny sposób rozumiała, że nie jestem taka jak inne małe dzieci i że ze względu na to nie można stawiać mi takich samych wymagań jak innym dzieciom w moim wieku.

Kerstin odpowiadała często za mnie, gdy mnie o coś pytano. Czasami cieszyłam się z tego, ale im byłam starsza, tym bardziej przeszkadzało mi to, że Kerstin wkłada mi słowa w usta. Czasami mogłabym spokojnie odpowiedzieć sama, potrzebowałam po prostu trochę więcej czasu na sformułowanie odpowiedzi w głowie, żeby móc się później wysłowić. Często czułam się pominięta, gdy Kerstin – w swej skwapliwości do chronienia młodszej siostry – zdążyła już za mnie odpowiedzieć, podczas gdy ja byłam jeszcze zajęta formułowaniem odpowiedzi w myślach. Byłyśmy takie różne i możliwe, że to właśnie moja powolność popędzała Kerstin. Ona gnała do przodu przez życie, podczas gdy ja truchtałam gdzieś tam w tyle.

Czułam czasami, że mama czegoś ode mnie chce, ale nie rozumiałam, że chodzi jej o moją miłość. Wydawało mi się, że ona chce mi coś zabrać, coś, czego zatrzymanie jest dla mnie koniecznością życiową. Nawet gdybym miała jakieś mgliste po-

i tatą. Dlaczego miałyby przejmować się tym, co oni wyprawiają? Ale ona często chciała pośredniczyć między nimi albo stawiała po stronie mamy, przeciwko tacie. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego wtrąca się do tego, co robią. Gdy wszystko to przekraczało moje możliwości zrozumienia, odchodziłam – co nie znaczyło, że byłam pozbawiona uczuć. Bardzo lubiłam swoją siostrę i cierpiałam, gdy ona cierpiała, ale cała sytuacja była dla mnie całkowicie niezrozumiała i męcząca. A gdy już siedziałam w innym pokoju ze swoimi literkami, znajdowałam się w innym świecie. To, co działo się w dużym pokoju, przestawało istnieć. Wydawało mi się, że nic się tam nie dzieje, skoro ja tego nie widzę. Opuszczenie pokoju było w pewnym sensie tym samym, co zmuszenie ich do zaprzestania awantury.

Nie miałam żadnego wewnętrznego mechanizmu, który by mi dawał do zrozumienia, że powinnam kochać swoich rodziców za to tylko, że są moimi rodzicami. Zastrzegałam sobie prawo do wyboru tych, których Kocham. Wydawało mi się to całkiem praktyczne. Ale Kerstin czegoś ode mnie chciała, potrzebowała mnie w jakiś sposób. Chciała, żebym była taka jak ona i żebyśmy zamartwiały się razem, we dwie. W miarę jak dorastałam, wzmagало się we mnie to poczucie – poczucie, że powinnam być inna. Stawało się coraz silniejsze i mówiło mi, że powinnam reagować dokładnie tak samo jak moja siostra. Że moje reakcje są niewłaściwe i dziwne. Najwyraźniej to, że reakcje Kerstin były niepraktyczne i sprzeczne z wszelką wewnętrzną logiką, nie grało tu żadnej roli – tak czy inaczej jest to właściwy sposób reagowania. Widocznie jestem jakaś wybrakowana wewnątrz i w ogóle jakaś straszna, bo nie Kocham własnej mamy. Albo może jest tak po prostu dlatego, że jestem leniwa, złośliwa i nieznosna? Może powinnam się martwić o mamę? Może powinnam dostawać czerwonych plam na policzkach i pukać do drzwi łazienki, w której siedzi i płacze? Zastanawiałam się nad tym, czy da się tego nauczyć – rozumieć, kiedy trzeba reagować w taki sposób. Może powinnam to trenować i ćwiczyć? Ale to

samo przecucie mówiło mi, że powinno się reagować spontanicznie. A spontaniczność była taka trudna. Nie wiedziałam, jak się ją osiąga. Nic i nigdy nie działo się we mnie spontanicznie.

Obudziłam się w środku nocy. Miałam pięć lat i nie wiedziałam, co mnie obudziło. Odczuwałam lekką panikę, jak zwykle gdy budziłam się w środku nocy, gdyż wszystko dookoła mnie było całkowicie czarne. W moim pokoju paliła się jedna lampka, ale to mi nie wystarczało. Tak naprawdę to chętnie bym spała przy pełnym świetle wszystkich lamp, ale to było zabronione. Chciałam uniknąć uczucia ślepoty – uczucia, które miałam zawsze przy zbyt skąpym oświetleniu. Moje oczy nie umiały przystosować się do ciemności. Mówiono, że ja się „boję ciemności”, ale w istocie rzeczy tym, co napawało mnie lękiem, było wrażenie bycia ślepą. A nie żadna ciemność.

Musiałam teraz przedrzeć się przez pokój, by móc otworzyć drzwi do przedpokoju, który był oświetlony. Gdy się tam znalazłam, usłyszałam hałasy i głosy dochodzące z sypialni rodziców. Poszłam w tamtą stronę. Drzwi do pokoju rodziców były otwarte. Stałam na progu i zobaczyłam po jednej stronie małżeńskiego łóżka tatę, który był odwrócony do mnie plecami. Mama była po drugiej stronie łóżka, tej bardziej oddalonej od drzwi. Próbowwała mu się wymknąć. Tata trzymał w jednej ręce mosiężny świecznik. Był to świecznik, który zazwyczaj stał na stole w jadalni na parterze. Tata gonił mamę, złapał ją i przewrócił na łóżko. Uderzył ją świecznikiem w głowę. Pojawiła się krew – bardzo czerwona krew. Wtedy po raz pierwszy widziałam ich bójkę i zastanawiałam się, co oni robią. Dziwnie to wyglądało. Dlaczego tak się zachowują? Nic z tego nie rozumiałam.

Nagle ktoś położył mi ręce na oczach. Była to Kerstin, która też się obudziła i teraz chciała mnie uchronić przed tym widokiem. Zaprowadziła mnie z powrotem do mojego pokoju i powiedziała, że muszę się położyć spać. Powiedziała, że już się nie muszę bać ani martwić, i że nic złego się nie stało. Jej słowa



byłam wprawdzie pewna, co znaczą słowa o „kolegach i koleżankach”, ale domyślałam się, że może teraz będę mogła chodzić na urodziny i jeść tort. Tak się jednak nie stało.

Pierwszego dnia mama zaprowadziła mnie do przedszkola. Nie wiedziałam, co się kryje pod pojęciem „przedszkole” i nie miałam żadnego wyobrażenia, czym ono może być. Gdy weszłyśmy do środka, uderzyły we mnie głosy, ruch i wszystkie dzieci, przeciążając moje zmysły w pół sekundy. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu dzieci naraz i ogarnęło mnie przerażenie. Zastygłam i odmówiłam jakiegokolwiek ruchu. Nie. Nic z tego. Za nic nie wejdę do tych wszystkich pomieszczeń, z całą tą gromadą dzieci. Nie. „Będzie fajnie” – mówili, ale tu wszystko wyglądało strasznie. Czułam przerażenie.

Zostałyśmy w szatni z panią, gdy inne dzieci weszły już do sali. Mama zaczęła zbierać się do wyjścia. Nagle do mnie dotarło, że zamierza mnie tam zostawić i tego już było dla mnie za wiele. Dostałam silnego ataku paniki.

O nie! Gdzie ja jestem? Ratunku! Skąd się wzięły te wszystkie puste twarze? Czego one ode mnie chcą? Ja tu nie chcę być. Zostawcie mnie w spokoju! Straciłam poczucie tego, gdzie się zaczynam, a gdzie kończę. Czy mam tu teraz mieszkać? Czy to okropne miejsce ma się stać moim nowym Domem?

Nie! Muszę stąd wyjść, muszę się wydostać. Wypuście mnie! Wypuście! Muszę uciekać przed tymi wszystkimi odgłosami i pustymi twarzami!

Nie mogłam tam zostać, było to niemożliwe. Krzyczałam i kopałam. Gryzłam, drapałam i biłam. I zażenowana mama zabrała mnie z powrotem do domu. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby tam już więcej nie wracać. Do tego straszego miejsca zwanego przedszkolem. Nigdy przedtem nie widziałam takiego mętliku i mnogości pustych twarzy. Nie wiedziałam, że tyle ich istnieje i że mogą być aż tak puste. Czułam głębokie przerażenie.

Ludzie, których za dobrze nie znałam – czyli w zasadzie wszyscy z wyjątkiem mojej rodziny – mieli puste twarze. Nie

Ale ja temu zaprzeczałam, gdyż byłam w stu procentach pewna, że niczego nie zabierałam. Zabierać znaczyło tyle co kraść, a ja byłam pewna, że tego nie zrobiłam. Oni na to, że muszę być głupia, skoro zaprzeczam czemuś tak oczywistemu. Czułam się zdezorientowana.

Wiedziałam, że niczego nie zabrałam i nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób haczyk przykręcony do ściany mógł być „mój”. Było to stanowczo zbyt abstrakcyjne. Mój haczyk musiałby być czymś, co bym mogła włożyć do kieszeni. Jak tamten przytwierdzony do ściany haczyk mógł być mój? Czy to oznaczało, że nikt inny nie mógł go używać, nawet gdy mnie tam nie było? Dużo się nad tym zastanawiałam. Gdy w końcu udało mi się jakoś zaakceptować fakt, że ten ślimak ma coś ze mną wspólnego i że z jakiejś niezgłębionej przyczyny jest ważne, żebym wieszala swoją kurtkę na tym konkretnym wieszaku, pojawił się kolejny problem – jak znaleźć ślimaka.

Wszystkie przedmioty, które były do siebie podobne co do koloru, kształtu i wielkości, zlewały mi się czasami w jedno – mimo mojego ostrego wzroku – i było mi bardzo trudno odróżnić je od siebie. Może dlatego, że żadne ze zwierząt przedstawionych na obrazkach nie miało dla mnie bezpośredniego znaczenia. Widziałam, że rysunek przedstawia ślimaka, wiedziałam, czym jest ślimak, ale obrazek ze ślimakiem nie budził we mnie żadnych skojarzeń. Patrzyłam więc na kształt rysunku – podobny do „mojego”, na wielkość – podobna, na kolory – też podobne. I nadal wieszalałam swoją kurtkę na niewłaściwych miejscach, chociaż chciałam robić, jak należy.

Nie rozumiałam, jakie jest przeznaczenie pozostałych dzieci w przedszkolu. Do czego służą. Zauważyłam, że wygląda, jakby się znały nawzajem, ale nie rozumiałam, jak do tego doszło. Czy mogło tak być dlatego, że ja jako jedyna nie mieszkalam tam na stałe? Inne dzieci wyczuwały moją odmiennność. Wydawać by się mogło, że dzieci poznają takie coś po zapachu na długo przed dorosłymi. Dzieci uważały, że jestem dziwna i natychmiast po-

łączyły mnie z innym dziwnym dzieckiem w grupie, Peterem, który był pulchnym chłopcem w okularach i z pieluchą.

– Peter i Gunilla – mówiły dzieci, zupełnie jakbyśmy mieli ze sobą coś wspólnego.

Ale ja przecież nie miałam z nim nic wspólnego. Byłam nim równie mało zainteresowana jak resztą dzieci. I nie nosiłam pieluszek. W ogóle nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego mnie z nim połączono. Ponadto Peter bawił się z dziewczynkami w kąciku dla lalek, gdy nie mógł się bawić z innymi chłopcami. Ja nie bawiłam się z nikim.

Pewnego dnia, gdy przechodziłam koło kącika dla lalek, w którym bawiło się kilkoro dzieci, jedna z dziewczynek podeszła do mnie:

– Ty tu nie możesz wchodzić – powiedziała surowo.

Odebrałam to w ten sposób, że nigdy nie wolno mi tam wchodzić. Nigdy, przenigdy. Zrozumiałam to dokładnie tak, jak ona to powiedziała: ty tu nie możesz wchodzić. Nie zmar-twiło mnie to zbyt, bo i tak nie zamierzałam tam wchodzić, choć nie za bardzo rozumiałam, dlaczego nie mogę. I, jako że mi nie było wolno, nigdy już nie wchodziłam do kącika dla lalek. Aż do końca semestru, gdy do przedszkola przyszedł fotograf. Postanowiono, że zrobi zdjęcia dziewczynkom – w kilkuosobowych grupkach – w kąciku dla lalek. Ale ja stanowczo odmówiłam.

– Nie!

Wiedziałam przecież, że nie wolno mi tam wchodzić. Wiedziałam, że jest to zabronione, chociaż nie wiedziałam dlaczego.

– Nie!

Przedszkolanki i fotograf starali się mnie zaciągnąć do kącika dla lalek. Ustawili tam na stoliku plastikowe filiżanki i talerzyki. Mówili do mnie, popychając mnie w tamtą stronę. W końcu dałam się przekonać. Nigdy jednak nie zrozumiałam, dlaczego miałam być sfotografowana właśnie w tym miejscu, z lalką na kolanach, skoro nigdy się tam nie bawiłam.

jednym zamachem wymazać całe to kwadratowe miejsce. Nigdy już więcej nie wróciłam do tej szkoły na przedmieściu i upłynęło bardzo dużo czasu, zanim znowu zobaczyłam kwadrat narysowany linią przerywaną.

Mama mówiła, że doprowadzam ją do szału. Moje odmawianie jedzenia, moje wymysły, wszystko to działało jej na nerwy. Czasami jej mówiłam, że chcę coś zjeść, a później, gdy mi to dawała, kategorycznie odmawiałam zjedzenia. Ale ja po prostu jej nie rozumiałam. Potrafiłam odpowiadać twierdząco na jej pytania, kompletnie nie pojmując konsekwencji płynących z własnych odpowiedzi. Miałam bardzo formalny stosunek do pytań. Na pytanie „Czy możesz...?” odpowiadałam „Tak”, co oznaczało „Tak, mogę...”. Nie miałam pojęcia, że mogło to również znaczyć „Chcę...” lub „Zrobię...”. Jeśli więc odpowiadałam „Tak, mogę”, to miałam na myśli dokładnie to i nic innego. W ten sposób w wyniku mojej odpowiedzi „Tak” na pytanie „Czy możesz posprzątać swój pokój?” nie następował rezultat, jakiego się spodziewano. Kompletnie nie rozumiałam, dlaczego oni tak się na mnie złością. Wszystko wskazywało jednak na to, że nie rozumiałam czegoś, co powinnam była zrozumieć. I czasami, gdy wyraźnie słyszałam, że ktoś życzy sobie jakiejś konkretnej odpowiedzi, uważałam, że dobrze by było, gdybym się domyśliła, co on chce usłyszeć, i udzieliła mu właśnie tej odpowiedzi. Nie rozumiejąc, że to może się później jakoś na mnie zemścić.

Poruszałam się w terażniejszości, a moje „teraz” składało się z różnych przegródek, które ani nie miały nic wspólnego ze sobą nawzajem, ani nie miały żadnych swoich „później”. Czasami czułam się kompletnie zdezorientowana, gdy „wtedy” z jakiejś przegródki dopadało jakiegoś „teraz” z innej przegródki. Albo kosztowało mnie to wiele godzin usilnego dociekania i prób zrozumienia, jak to się stało, albo – jeśli mnie to przerażało – ignorowałam to całkowicie. Wykluczałam to ze swojego systemu – nie byłam w stanie tego zrozumieć, czyli nie mogło

to mnie dotyczyć, a więc nie dotyczyło. Dlatego potrafiłam – w oczach dorosłych bezwstydnie i bezczelnie – patrzeć na nich niewidzącym wzrokiem i nie słuchać, gdy mi prawili kazania. Ale ja nie czułam tej bezczelności, którą oni widzieli. Ja ich po prostu wykluczałam ze swojego świata.

Kerstin chodziła na taniec jazzowy i często odprowadzałam ją tam z mamą. Patrzyłyśmy, jak uczy się tańczyć. Podobały mi się te zajęcia. Nie było tam takiego bałaganu jak w przedszkolu. Każdy stał na swoim miejscu i wszyscy robili to samo. W tej szkole tańca była również grupa dla młodszych dzieci i mama chciała mnie do niej zapisać. Z początku nie byłam jednak pewna, czy tego chcę, bo kiedyś – po tym jak zobaczyłam balet w telewizji i powiedziałam, że też bym chciała tańczyć w balecie – zostałam zapisana do szkoły baletowej dla najmłodszych. Nie potrafiłam jednak wykonywać tego wszystkiego, co nam kazała robić nauczycielka baletu. Wszystko tam było na opak i głupie i stanowczo odmówiłam udziału w następnych zajęciach.

Mama, której bardzo zależało na tym, żebym miała jakieś zainteresowania, namówiła mnie do zapisania się na taniec jazzowy. Mówiła, jak tam będzie fajnie. Myślałam, jak zwykle, że to znaczy, że ona wie, że mi się tam będzie podobać – że w jakiś niewyjaśniony sposób zna przyszłość. Przecież tak mówiła.

– Będzie bardzo fajnie, zobaczysz – zapewniała mnie.

Postanowiono, że zacznę chodzić na zajęcia w grupie tańca. Na pierwszych zajęciach siedziałam w pierwszym rzędzie. Wykonywałyśmy różne ćwiczenia ruchowe. Pani od baletu podeszła do mnie i powiedziała, że mam niezwykle gibkie ciało.

– Jak spaghetti – powiedziała i brzmiało to jak coś bardzo pozytywnego.

Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, żebym była jak spaghetti, ale doszłam do wniosku, że bycie spaghetti to z pewnością coś dobrego, bo lubiłam spaghetti. Bycie spaghetti jednak nie wystarczało. Żeby umieć tańczyć, trzeba było umieć wyko-

# 7

Szkoła. Mówili, że wszystko się zmieni na lepsze, kiedy zacznę szkołę. Słyszałam to wielokrotnie. Myślałam, że oni wiedzą, że tak będzie. Myślałam, że dużo z tego, co było trudne i dziwne, i niezrozumiałe wynikało z faktu, że jeszcze nie zaczęłam chodzić do szkoły, ale że to – niczym za sprawą jakiegoś szczególniego prawa natury – unormuje się, gdy tylko tam pójde. Naprawdę chciałam już chodzić do szkoły. Moja siostra opowiedziała mi na temat szkoły różne rzeczy, które mnie zainteresowały. Bardzo chciałam być duża i więcej rozumieć. Może teraz to nastąpi. Mówili też, że gdy zacznę szkołę, będę miała przyjaciół.

– Gdy rozpoczniesz szkołę, będziesz miała nowych kolegów i koleżanki.

Wypowiedziane w sposób tak konkretny i dokładny, brzmiało to jak jakaś przepowiednia. Myślałam, że oni to wiedzą.

Nadal nie byłam specjalnie zainteresowana innymi dziećmi, ale w czysto teoretyczny sposób chciałam mieć przyjaciół. Słuchając innych, odnosiłam wrażenie, że *powinnam* tego chcieć, że inni uważają, że *mam* tego chcieć. Kerstin chodziła do szkoły i miała przyjaciół, a ja tak bardzo chciałam być taka jak ona. Re-

zultatem pójścia do szkoły nie stało się jednak zdobycie przyjaciół, ale – szok. Już dwadzieścioro pięciorko dzieci z przedszkola przytłaczało mnie, a tutaj było dwieście pięćdziesiąt sztuk, które wprowadzały zamieszanie w moich zmysłach. Dwieście pięćdziesiąt nieobliczalnych głosów, par rąk i nóg. Dwieście pięćdziesiąt ciał, które trzeba było jakoś wymijać. A wymijanie ludzi było dla mnie fizycznie trudne. Wpadałam często prosto na nich albo zatrzymywałam się, bo nie potrafiłam obliczyć dzielącej mnie od nich odległości. Odmierzałam ją w myślach i zastanawiałam się, i starałam się unikać zderzeń. Nie wiedziałam, dlaczego inni umieją się wymijać. Nie wiedziałam, że oni nie muszą się nad tym zastanawiać i że czynią to automatycznie.

Wszystkie te dzieci, które znajdowały się w szkole, były jak tysiące milionów pustych twarzy, które migały mi przed oczami i mijały mnie, zanim zdążyłam je uchwycić i zaczepić na nich wzrok. Wyglądało na to, że mają coś wspólnego ze sobą nawzajem. Starałam się wykalkulować, w jaki sposób są ze sobą połączone, ale nie udało mi się wymyślić żadnej sensownej teorii. Jedno w każdym razie wiedziałam: nie miały nic wspólnego ze mną! Nauka w szkole przyniosła mi również rozczarowanie. Inne dzieci wydawały mi się raczej głupie. Nie umiały prawie nic – ani czytać, ani pisać. Całkiem przyjemnie jednak było, pomimo nudy, spędzić całą pierwszą klasę, siedząc w ostatniej ławce i grając samemu w grę, w której zapalało się zielone lub czerwone światełko po każdej odpowiedzi udzielonej na pytanie. Było to zajęcie dla dzieci, które już umiały to, czego właśnie uczono. I ze wszystkich strasznych rzeczy w szkole wewnątrz klasy było przynajmniej najspokojniejszym miejscem.

Nauczyłam się z czasem imion większości dzieci z mojej klasy, ale tych samych dzieci, których imiona znałam w klasie, nie rozpoznawałam na boisku szkolnym. Za dużo było twarzy wokół, zlewały się ze sobą. Rozmywały się, ich kontury stawały się niewyraźne i nie potrafiłam rozróżnić, kto jest kim. Wśród wszystkich strasznych rzeczy najstraszniejsze były przerwy. Piłki

taty, a później wystarczająco często używać samego urzędnika, by tatę zadowolić. Gdy w końcu dostałam ten mikroskop, który był przez całe lata na mojej liście życzeń, nie pozostało we mnie zbyt wiele radości z jego powodu. Jednak jakiś rok później odnalazłam w sobie na powrót chęć do badania i odkrywania. Wyjęłam mikroskop z czerwonej skrzynki i zaczęłam szukać materiału do badań. Większość z tego, co trafiało pod szkiełko mojego mikroskopu, pochodziło od ludzi – naskórek i włosy, ślina i paznokcie, wszystko, co mi przyszło do głowy. W badaniach przyświecało mi gorące pragnienie zrozumienia – zrozumienia ludzi. Może jeżeli będę się przyglądać tym materiałom w szczegółach, aż do najmniejszej cząsteczki, coś mi się wtedy objawi – coś, co spowoduje, że będę lepiej rozumieć. Coś, co mi pomoże poradzić sobie z tym wszystkim.

Po boisku szkolnym chodziło sporo większych ode mnie chłopaków. Na którejś przerwie kilku z nich podeszło do mnie. Powiedzieli, że będę dostawała lanie.

– Będziesz dostawała lanie raz dziennie – powiedzieli.

Ta zasada wydała mi się dziwna, ale się z nią pogodziłam. Szkoła była w końcu pełna spraw, których nie rozumiałam i z którymi musiałam się po prostu pogodzić. Chłopacy kazali mi iść ze sobą w kierunku toalet, które znajdowały się w piwnicy, i do których wchodziło się bezpośrednio z boiska. Dostawałam tam pięścią w brzuch, codziennie, ale na ogół było to tylko jedno uderzenie. Zapewne dawanie mi lania nie sprawiało im specjalnej frajdy, bo miałam bardzo wysoki próg bólu, a jeżeli już mnie bolało, to nigdy tego po sobie nie pokazywałam. Nie wiedziałam, że powinno się to po sobie pokazywać. Bili mnie tak codziennie, aż do dnia, w którym ktoś nagle naskarżył na nich naszej pani. Nie podobało mi się to. Ona nie miała ze mną nic wspólnego, a ja czułam się urażona. Stało się teraz jasne, że zostałam w jakiś sposób nabrana i było mi głupio z tego powodu. Chodziłam przecież sama po tych chłopaków, gdy czasami



wyglądało na to, że o mnie zapomnieli. Myślałam, że tak właśnie ma być.

A teraz nasza pani czuła się w obowiązku wtrącać i rozmawiać ze mną na ten temat. Nie chciałam tego. Dlaczego ludzie nie mogli mnie po prostu zostawić w spokoju? Ktoś postarał się o to, żeby zamknąć te toalety z wejściem od strony boiska. Nie rozumiałam, dlaczego muszę przysparzać komuś tylu kłopotów. Ci starsi chłopacy nadal bili mnie codziennie, tyle że za budynkiem szkolnym. Raz dziennie, co dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Lubiłam, gdy coś się odbywało codziennie w taki sam sposób.

Nie wyrażałam się tak samo jak inne dzieci i bywało, że one nie rozumiały tego, co mówię. Używałam często trochę trudniejszych słów. Potrafiłam na przykład powiedzieć: „Urlop wypoczynkowy spędziliśmy na Wyspach Alandzkich” albo „To jest skomplikowane”, albo „Czy jesteś w stanie to zaakceptować?”. Nie znałam innego sposobu wyrażania się i nie pojmowałam, dlaczego dzieci mnie nie rozumieją. Słowa znajdowały się w moim wnętrzu i były dostępne bez najmniejszego trudu. Mówienie wymagało wysiłku, ale same słowa lekko wślizgiwały mi się do mózgu i układały się tam. Mowę jako język miałam wewnątrz ułożoną wyraźnie i w każdej sytuacji lubiłam używać najbardziej odpowiednich słów.

Sam proces przekształcania słów w mowę był uciążliwy i powodował, że rzadko mi się udawało coś powiedzieć, gdy w rozmowie uczestniczyły więcej niż dwie osoby. Na papier natomiast przelewałam słowa bez wysiłku. Bardzo lubiłam pisać i miałam ogromny talent do ortografii. Po prostu nie potrafiłam pisać z błędami. Byłam niczym słownik. Wystarczyło, że raz zobaczyłam jakieś słowo na piśmie, a już jego pisownia utrzymywała się we mnie i mogłam po nią sięgać w razie potrzeby. Tego talentu nie doceniano jednak w szkole. Nauczycielka myślała, że ściągłam, gdy pisałam całe dyktanda bez jednego błędu. Rozmawiała ze mną na ten temat takim wyrozumiałym, mazistym głosem.

Musisz zrozumieć. Czy możliwe jest, by... Nie jestem na ciebie zła. Tak się robi w szkole.

Wiele rozwlekłych, lepkich słów. Słów, które wyrażały, że „teraz jestem dla ciebie miła, mimo że się gniewam”. Czy to się w ogóle dało zrozumieć? Już lepiej by było, gdyby na mnie nakrzyczała. Z czystą złością dorosłych potrafiłam sobie radzić.

W świecie pani nauczycielki uczeń nie mógł być tak dobry z ortografii jak ja. Według pani nauczycielki tak się bałam popełnić błąd, że zaglądałam do książki podczas dyktanda. Ale mnie by w życiu nie przyszło do głowy, żeby ściągać. Zawsze przestrzegałam zasad, które mi przedstawiono, jeżeli tylko nie pozostawały w sprzeczności z moimi najważniejszymi potrzebami. Poza tym nie musiałam zaglądać do książki, umiałam i tak. Pani tłumaczyła mi, że można popełniać błędy, że jest to dozwolone. Nie rozumiałam, czego ona ode mnie chce, ale – żeby spróbować jej dogodzić i żeby mnie zostawiła w spokoju – zaczęłam specjalnie robić błędy. Używałam swojego uzdolnienia językowego do kalkulacji, które błędy są najbardziej prawdopodobne – zapomnieć, że po spółgłosce pisze się „rz” i napisać „kszew” zamiast „krzew” albo gdzie indziej napisać „ch” zamiast „h”. Bardzo przykładałam się do tego, żeby produkować błędy w sposób wiarygodny i starałam się, żeby liczba błędów wahała się za każdym razem między jeden a trzy. Wydawało mi się, że tyle właśnie powinno ich być.

Dziwne były zasady, według których należało postępować w tym świecie. Trzeba było robić „tak jak nie jest”, pisać „rórza”, mimo że poprawne jest „róża”. Pani była jednak zadowolona, a ja nadal byłam najlepsza w klasie z ortografii i miałam święty spokój.

Mimo że sala lekcyjna była dla mnie najspokojniejszym miejscem w szkole, miałam trudności w słuchaniu tego, co mówi nauczycielka. Wślizgiwałam się w siebie samą i znikałam; z tego powodu cały czas byłam w klasie przesadzana na różne miejsca. Czy niedosłyszę? Czy niedowidzę? O ile wiem, to nie. Musiałam się przesiąść do innej ławki, na sam koniec klasy. Następnie

tego tak bezkrytycznie. Pewnego dnia zrozumiałam jednak, że mnie nabierają i – gdy już trochę przebolełam to, że widocznie jestem strasznie głupia, żeby tego nie rozumieć – zaczęłam sobie cenić tę zabawę. Teraz już się nie bałam, teraz chciałam, żeby były Kociokwikiem i Esmeraldą przez cały czas. Nigdy mnie to nie nudziło. Marudziłam im o to i marudziłam, ale dla nich te przebieranki przestały być zabawne. Byłam bardzo zawiedziona, że teraz, gdy w końcu wszystko pojęłam, tak rzadko chciały się ze mną bawić w Kociokwika i Esmeraldę. A jeżeli już mi się udało je do tego przekonać, w ogóle mi nie przeszkadzało, że robiły to od niechcienia i bez entuzjazmu. W takich kwestiach nie zauważałam różnicy, dla mnie zabawa mogła wyglądać dokładnie tak samo za każdym razem. Zabawa jednak straciła żywotność i wygasła wraz z pojawieniem się mojego zrozumienia.

Staralam się przez cały czas zrozumieć wszystko, co się działo wokół mnie, i łączyłam dorastanie z pragnieniem uzyskania lepszego zrozumienia. Była to przyczyna, dla której chciałam dorosnąć. To właśnie, a także wizja, że – gdy będę starsza – dadzą mi w końcu spokój. Ale gdy już coś do mnie docierało, prawie zawsze okazywało się, że niesie to ze sobą jeszcze więcej trudności, nowych trudności. Im byłam starsza, tym więcej ode mnie wymagano, podczas gdy ja dysponowałam coraz mniejszą ilością dziecięcego uroku, który mógłby kompensować moje braki. Nieśmiała i pulchna czterolatka mogła liczyć na trochę więcej wyrozumiałości ze strony otoczenia niż podejrzliwa dziesięciolatka z nadwagą.

W młodszych klasach pani pozwalała mi siedzieć i rysować na kartce podczas lekcji. Pomagało mi to w niepograżaniu się w sobie. Z pomocą papieru i ołówka potrafiłam utrzymać swój układ nerwowy w stanie czuwania. Nie pomagało mi to jednak słuchać uważniej podczas lekcji, raczej koncentrowałam się tylko na tym, co rysuję. Wówczas nie grało to większej roli, gdyż umiałam już to, czego nauczano. Nie wiedziałam, że takie przywileje mogą nagle zostać odebrane, ale teraz, gdy w czwartej

klasie przejęła nas inna nauczycielka, specjalne traktowanie się skończyło.

Muszę przecież zrozumieć, że w szkole nie można tylko siedzieć i rysować!

Ale mowa nauczycielki podczas lekcji zalewała mi uszy nużąc rozwlekłym, monotonnym morzem, morzem z pluskającymi falami szelestów i kaszlnięć, co sprawiało, że powoli zapadałam się w sobie. Nie pogrążałam się w marzeniach, wchodziłam tylko w siebie samą i pozostawałam tam. Ta pustka wewnętrzna nie różniła się pewnie zbyt od medytacji, z tą jednak zasadniczą różnicą, że na ogół nie panowałam nad tym stanem. To się po prostu działo samo – główny włącznik prądu ustawiał się na zero i wszystko gasło, rozłączało się.

Zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, że coś mnie różni od innych, dlatego znikanie w sobie samej stało się dla mnie prawdziwą udręką. Przez cały czas czułam, że nie dorastam do tych wymagań, które stawiają przede mną inni. Czułam, że sprawiam innym zawód i naprawdę starałam się z tym walczyć. Ale teraz, w szkole, postawili mnie w sytuacji, która działała na mój układ nerwowy jak eter, i wymagali jednocześnie, żebym była czujna, przytomna i obecna. Oprócz tego wymagali cichego i spokojnego siedzenia, czyli zabronili mi używać głosu i ciała jako środków ułatwiających mi pozostanie w sali. Równie dobrze mogliby mnie poprosić, żebym obierała pomarańcze, stojąc na rękach. Jednak wierzyłam im, gdy twierdzili, że jestem leniwa. Wszyscy inni potrafili w końcu siedzieć spokojnie, a jednocześnie słuchać i słyszeć. No więc chyba jednak było tak, jak mówili, mimo że przez cały czas usilnie starałam się być tą, którą według nich być powinnam. Mówili „Bądź taka!”, ale nie chcieli mi dać narzędzi do stania się taką, a ja starałam się, jak mogłam, nie wiedząc o tym, że nie mam żadnych szans.

Ponieważ w szkole nie mogłam już rysować na papierze, zaczęłam rysować po ławce. Było to surowo zabronione, ale przyzwyczajenie do kartki leżącej przede mną sprawiało, że byłam

powodowało, że trudno mi się chodziło w nowych butach, bez względu na to, za jak wygodne uchodziły. Miałam kilka powodów, dla których chciałam zachowywać swoje stare, schodzone i za małe buty. Robiłam to dlatego, że wszystko inne było uciążliwe dla moich stóp, a poza tym w ogóle nie lubiłam nowych rzeczy. Lubiałam tylko przedmioty, do których byłam przyzwyczajona, które były mi dobrze znane i nie mogły mi sprawiać niespodzianek. O to, co miałam nosić na stopach, toczyły się całe wojny. Zazwyczaj je wygrywałam.

To, że miałam taki konkretny stosunek do tego, co mówią ludzie, też stwarzało problemy. Mama przychodziła na przykład do mojego pokoju wieczorem, przed wyjściem na kurs angielskiego, i pytała: „Czy mogłabyś opróżnić zmywarkę?”.

– Tak – odpowiadałam.

A dwie godziny później, gdy na mnie pomstowała, że nie zrobiłam tego, co obiecałam, patrzyłam tylko, nic nie rozumiejąc.

– Jak to?

Nie rozumiałam wcale, że chodziło jej o to, że ja *mam opróżnić* zmywarkę, odpowiedziałam tylko bardzo formalnie na pytanie „Czy mogłabyś?” – „Tak, mogłabym”. W taki sam sposób odpowiedziałabym na pytanie „Czy mogłabyś żyć bez telewizji?”. Jednak dla moich rodziców jedynym możliwym wyjaśnieniem mojego zachowania było to, że jestem źle wychowana, leniwa i mam złą wolę. Wszystkie te narzekania, każdy wyrzut, całe to marudzenie, wszystkie „powinnaś była – musisz – czy ty się nigdy nie nauczysz” łądowały z upokorzeniem w moim wnętrzu.

Gdy miałam trzy lata, wszystko to zaczęło się układać warstwą pod moją skórą, mniej więcej na wysokości kostek. Następnie do tej warstewki dobudowywały się nowe warstwy. Warstwa za warstwą „powinnam być kimś innym” w moim wnętrzu. Do wysokości kolan i jeszcze wyżej. Nowe warstwy niebicia prawdziwym człowiekiem – pod pachy i aż po szyję... „Nie jestem prawdziwym człowiekiem; nigdy, przenigdy nie

będę prawdziwym człowiekiem” wypełniało mnie po brzegi, w końcu aż po cebulki włosów.

Nie lubiłam niespodzianek i dotyczyło to wszystkich dziedzin życia. Nie chciałam być zaskakiwana, nigdy w życiu. Aby w ogóle mieć szansę na poradzenie sobie z różnymi sytuacjami, musiałam być na nie przygotowana. Zdarzało mi się cieszyć się z prezentów, ale trudno mi było znieść to, że nie wiedziałam, co jest w opakowaniach. Choćby już tylko dlatego, że branie do ręki ozdób było dla mnie takie straszne, wołałam być przygotowana na to, co będzie w środku. Z tego powodu moim absolutnie ulubionym prezentem było to, co dostawałam co roku na Gwiazdkę, i co z łatwością rozpoznawałam po opakowaniu. Rozpoznawałam ten pakunek pod choinką już z daleka, tego kształtu nie sposób było z niczym pomylić. Nie dość, że uwielbiałam jego zawartość, to leżał on pod choinką rok w rok, co dawało mi poczucie bezpieczeństwa. W opakowaniu znajdowała się duża puszka z ananasek konserwowym, który był jedną z moich fiksjacji – mogłabym się żywić wyłącznie ananasek konserwowym, gdyby mi na to pozwolono – i w każde święta dostawałam całą puszkę na własność.

Czułam się tak bezpiecznie z owym rytuałem prezentu gwiazdkowego, że nie przeszkadzało mi nawet, gdy sobie ze mnie żartowano z tego powodu – coś, co w innych przypadkach było dla mnie trudne do zrozumienia i do zniesienia. Któregoś roku zamiast puszek z ananasek pod choinką znalazłam rolkę papieru toaletowego. Byłam strasznie zaskoczona, gdy otworzyłam pakunek, ale prawie natychmiast zrozumiałam, że to tylko żart i że prawdziwa puszka też gdzieś tam jest. Było to silne i zaskakujące przeżycie – odczuwać coś, co naprawdę było rozwabieniem z tego powodu, że ktoś sobie ze mnie żartował.

Święta Bożego Narodzenia z powinnością przebywania w gronie rodziny przyczyniały się zawsze do wybuchu awantur i wiele choinek lądowało na podłodze. Mimo wszystko to, co

który mnie złapał i przytrzymał, albo przynieść do szkoły papierosy i próbować palenia, nie przejmując się, czy ktoś to widzi. Nie była to jednak odwaga ani hardość. Po prostu nie dostrzegałam za bardzo konsekwencji pewnych zachowań, a ból fizyczny nie robił na mnie szczególnego wrażenia.

Niektórzy uczniowie z mojej klasy starali się do mnie zbliżyć. Właściwie to byłam prześladowana głównie przez dzieci z innych klas, ale nie zdawałam sobie z tego zbyt sprawy, miałam bowiem słabe rozeznanie, kto jest kim. A ponadto, ze względu na nowo zdobytą świadomość własnych braków, stałam się wobec innych podejrzliwa. Nie wiedziałam, jakie mają zamiary. Nie rozumiałam sposobów nawiązywania kontaktu ze mną. Jeżeli nie chciałam zostać nabrana, najlepiej było unikać wszystkich.

Teraz czasami rozpoznawałam swoich kolegów z klasy poza salą lekcyjną. Nadal jednak często miałam tylko niejasne przecucie, że powinnam rozpoznać tę czy tamtą osobę, nie potrafiąc jej tak do końca zidentyfikować. Wprawdzie był to postęp w stosunku do mojej sytuacji w młodszych klasach – kiedy w ogóle nie miałam pojęcia, które osoby powinnam rozpoznawać – jednak wówczas czułam się pewniej. Teraz bardziej odczuwałam zagubienie; domyślałam się, że może istnieć jeszcze więcej spraw, o których powinnam wiedzieć, i ta myśl wzmagала moją podejrzliwość.

Starłam się nie mieć zaległości w szkole, a to, że byłam ponadprzeciętnie dobra w pewnych dziedzinach, sprawiało, że oczekiwano ode mnie, że będę równie dobra w pozostałych. Tak jednak się nie działo. Gdy matematyka w szkole wyszła poza cztery działania podstawowe, krok po kroku zaczynałam tracić nad nią kontrolę. Nowe, niezrozumiałe znaki miały reprezentować różne sprawy –  $<$   $\geq$   $\approx$   $\neq$   $\%$  – a ja, mimo usilnych starań, nie potrafiłam ich zmusić do zatrzymania się w mojej głowie. Nie umiałam otworzyć wieczka do przegródki, do której powinny zostać odłożone, toteż symbole ślizgały się w kółko, zabłąka-

ne w moim mózgu. Gdy starałam się wcisnąć do wnętrza tej przegrodki znaczenie jakiegoś symbolu, nieuchronnie wypadał stamtąd jakiś inny. Brakowało tam miejsca.

Matematyka wymagała ponadto rozumowania składającego się z wielu kroków, z czym nie dawałam sobie rady. Musiałam zawsze myśleć o każdej rzeczy z osobna, gdyż nie miałam w mózgu miejsca na odkładanie myśli. Musiałam trzymać każdą myśl, specjalnie ją przytrzymywać wewnętrzną „ręką”, a równocześnie tak rozdzielać resztę energii, żeby jeszcze być w stanie skupić się na czymś innym. Wymagało to niesamowitej koncentracji. Jeżeli udało mi się uniknąć rozproszenia, byłam w stanie utrzymać po jednej myśli na każdym „palcu” – ostrożnie nimi balansując – podczas gdy zajmowałam się badaniem jakiejś dodatkowej myśli; jednocześnie musiałam wypracowywać sobie wskazówki do późniejszego odnalezienia wszystkich tych myśli w odpowiedniej kolejności. Wystarczyło, że ktoś w pobliżu chrząknął, a ja już traciłam część tej konstrukcji. A jeżeli traciłam część, zaraz upadała cała reszta i trzeba było znowu zaczynać od zera. Nie wiedziałam, w jaki sposób robią to inni ludzie, myślałam więc, że to moje lenistwo powoduje, iż nie dają rady. Jeżeli moje poczucie poezji wychwyciło jakiś symbol, zdarzało się, że mogłam się go nauczyć, ale symbole matematyczne były dla mnie całkowicie wyzute z poezji. To samo dotyczyło oznaczeń chemicznych. Wyglądało na to, że nuty też nie przemawiają do mojego poczucia poezji, gdyż kompletnie ich nie rozumiałam.

Nie umiałam grać na żadnym instrumencie, toteż muzyka była jednym z tych szkolnych przedmiotów, z których byłam bardzo słaba. Lubiłam sobie podśpiewywać, ale nie znałam się na tonach, nie zdawałam sobie sprawy, że się od siebie różnią, i być może moje wyśpiewywanie ciągów słów, które wymyślałam, było dla mnie jedynie sposobem na podtrzymywanie aktywności układu nerwowego. Ale mama – która bardzo chciała, żebym i ja miała jakieś zainteresowania – doszła do wniosku, że może śpiew mógłby stać się moim hobby. Kerstin należała prze-



cież do harcerstwa, Kerstin tańczyła, Kerstin miała przyjaciół, a mama chciała, żebym była aktywna jak ona. Wymyśliła, że mogłabym śpiewać w chórze szkolnym i udało jej się przekonać mnie do tego pomysłu. Kiedy jednak sprawy zaszły tak daleko, że sama zaczęłam tego chcieć, okazało się, że przed przyjęciem do chóru trzeba zdać test.

Najpierw stałam w kolejce wraz z innymi dziećmi przed salą do muzyki, potem musieliśmy wchodzić pojedynczo do środka i śpiewać piosenkę. Pani od muzyki, wypudrowana na biało, z czarnymi włosami i z czerwonymi plamami wymalowanymi na policzkach, siedziała przy pianinie. Nigdy przedtem nie widziałam białej pani z czarnymi włosami i nigdy też nie musiałam śpiewać sama z akompaniamentem pianina. Gdy zaśpiewałam tę piosenkę, którą wybrano jako test, „Były sobie kurki trzy”, pani powiedziała, że zaczęłam od niewłaściwego tonu. Nie znałam się na tonach. Pani próbowała zaprezentować mi to na pianinie, co jednak wcale nie pomogło mi w zrozumieniu tej kwestii. Powiedziała wtedy, że i tak było dobrze, i kazała mi wyjść i powiedzieć następnej osobie, osobie o nazwisku na H, żeby weszła do środka.

Myślałam, że zostałam przyjęta, pani powiedziała przecież „i tak było dobrze”. Gdyby chociaż skrytykowała jakoś mój śpiew, tobym zrozumiała, że nie zostałam przyjęta. A tak dowiedziałam się dopiero po jakimś czasie, od mamy, że nie mogę należeć do chóru. Byłam rozżalona, bo wszystko było takie pełne sprzeczności i takie dziwne – przekonano mnie do pragnienia czegoś, do czego później nie zostałam dopuszczona. No i czemu pani powiedziała, że i tak było dobrze?

Ta sama pani od muzyki uciszyła mnie na dobre jakiś rok później. Dziewczynki z mojej klasy miały być druhnami w adwentowej procesji św. Łucji. Przed występem pani wzięła mnie na stronę i powiedziała, że byłoby najlepiej, gdybym tylko bezgłośnie otwierała usta, bo tak źle śpiewam. Ucichłam wtedy, przestałam śpiewać – totalnie i na zawsze – i zastanawiałam się,

agują. Zgodnie z moją logiką powinni mnie zostawić w spokoju, tak samo jak ja ich zostawiam. Moje bardzo niejednolite wyniki w szkole również działały na nich jak prowokacja. Bez najmniejszego wysiłku dostawałam najwyższe oceny ze szwedzkiego, z angielskiego, z francuskiego i z rysunków. Musiałam często poprawiać nauczyciela szwedzkiego, bo znałam wszystkie dopuszczalne formy zapisu każdego słowa. Sama trzymałam się zawsze oryginalnej pisowni, która była w moim odczuciu najbardziej poprawna, pisałam „à propos”, podczas gdy inni pisali „apropo”, jeżeli w ogóle używali tego słowa. Wolałam używać „jeżeli” zamiast „jeśli”, podczas gdy wielu innych pisało „jak”. Pisałam też „veto” zamiast „weto”.

Miałam niemalże fotograficzną pamięć do pewnego rodzaju tekstów, co było bardzo pożyteczne, jeżeli chodzi o języki. Teksty uporządkowane według alfabetu albo podzielone na ponumerowane paragrafy, jak na przykład w podręcznikach do gramatyki, utrwały mi się z łatwością. Przeczytałam cały podręcznik gramatyki angielskiej i mogłam później wertować go w głowie, szukając strony z konkretnym akapitem, którego potrzebowałam. Właściwie nie pamiętałam, *co* tam jest napisane, tylko miałam w głowie coś na kształt kopii strony książki, którą mogłam czytać myślami.

Z tego talentu korzystałam oczywiście również w dalszej nauce. Niestety jednak to, co mi się zachowywało w głowie – słowa ze słowników w porządku alfabetycznym, paragrafy prawne z przepisów gminnych, wartość odżywcza artykułów spożywczych z tabeli Wydziału Higieny Żywności Państwowego Zakładu Żywności – było najczęściej czymś, czego tak naprawdę nie trzeba było znać na pamięć i równie dobrze można było gdzieś sprawdzić w razie potrzeby. Byłam osobliwą postacią w reformowanym szkolnictwie lat siedemdziesiątych, w którym wszystko miało być uproszczone i dostępne dla szerokich mas.

Mój nauczyciel szwedzkiego uczył mnie również historii i geografii, a poza tym był naszym wychowawcą. Wyglądało

w jaki dorośli przygotowywali się – może poprawiali włosy, marszczyli lekko brwi lub chrząpali – do zabrania się za coś uciążliwego, czyli za mnie. Zupełnie jakbym czytała w ich myślach: dematerializowałam się dokładnie w chwili, gdy mieli mi położyć rękę na ramieniu.

Zajęcia z szycia dla klas 4–6 były oazą ciszy. Teraz, w gimnazjum, stały się dużo bardziej uciążliwe, gdyż mieliśmy szyc ubrania na maszynie. Nie mogłam już dłużej siedzieć w kącie i zajmować się jakąś precyzyjną dłubanią. Miałam trudności z odbieraniem wszystkich instrukcji i zapamiętywaniem ich.

Skopij wzór, odrysuj, nanieś rysunek... Zostaw zapas materiału na szwy, zrób fałdkę tu i zrób fałdkę tam. Wytnij z materiału i przyszyj. Zegnij do wewnątrz i wygnij na zewnątrz, obręb. Flizelina. Flizelina... interesujące słowo, piękne słowo. Przekalkuj wzór na materiał, zegnij, dołóż fałdkę.

Nie potrafiłam utrzymać w głowie wszystkich tych części instrukcji, a jeżeli pytałam o coś przez cały czas nauczycielkę, to znaczyło, że nie słuchałam jej uważnie – już ona wie, że tak jest! Na początku często traciłam wątek w trakcie wykonywania czynności i nie wiedziałam, co robię. A dźwięk wydawany przez maszyny do szycia wpadał prosto do mojego wnętrza i bałagał mi w głowie – wrrrr, wrrrr, tka, tka, tka, tka, wrrrr, wrrrr. Te odgłosy nie powodowały utraty gruntu pod nogami, jak to było w przypadku innych dźwięków. Problem polegał na tym, że nie byłam w stanie ich wykluczyć. Były głośniejsze od moich myśli, co strasznie mnie męczyło. Czułam się tak, jakby między mną a tymi odgłosami toczyła się walka: wyciągałam ręce przed siebie i starałam się odpychać je otwartymi dłońmi. Nacierały przez cały czas – wrrrr, tka, tka, tka – wibrując i pchając moje wyciągnięte ręce. A gdy tylko ramiona mi się zmęczyły i trochę odpuszczalałam, odgłosy ogarniały mnie w całości.

Czułam, że muszę przez cały czas mocno trzymać te odgłosy z dala ode mnie, a jednocześnie muszę wyznaczyć granicę, ro-

dziej wewnętrznej zapory, między tą częścią mózgu, która zajmuje się wykluczaniem dźwięku, a tą częścią, która ma koncentrować się na cięciu kawałka materiału, który trzymam w rękach. Musiałam stać na straży tej granicy, bo gdy jedna część zaczynała przeciekać do drugiej, wówczas gubiłam się całkowicie.

Była to już czwarta wewnętrzna czynność wykonywana przeze mnie w tym samym czasie i nie pozostawało mi zbyt dużo energii. Jeżeli wtedy włączała się następna maszyna do szycia – nowy dźwięk do trzymania na odległość – musiałam aktywnie i oddzielnie odgradzać jej odgłos od siebie aż do momentu, w którym udało mi się dodać go do odgłosu wydawanego przez tę pierwszą maszynę do szycia i połączyć je w jeden wspólny dźwięk. Dopiero wówczas mogłam używać jednej i tej samej siły do izolowania się od obu odgłosów. Ale nie wystarczało mi energii, nie dawałam rady. Nie miałam wystarczająco dużo „wewnętrznych rąk” do opierania się dźwiękom. Moje wewnętrzne bezpieczniki ulegały przeciążeniu, a główny wyłącznik zasilania się zamykał. Wprawdzie zmysły nie przestawały mi wtedy funkcjonować – widziałam nadal, słyszałam i czułam – ale przestawałam odbierać ich sygnały. Bodźce słuchowe leżały i grzechotały w małżowinie usznej, ale nie dochodziły do mnie, a ja nie wychodziłam, by je odebrać. Bodźce wzrokowe siedziały na siatkówce, jak zwykle wyraźne i ostre. Ponieważ wzrok był tym z moich zmysłów, który działał najlepiej, był najbardziej godny zaufania i najprostszy w obsłudze, mogłam sobie w zasadzie pozwolić na odbieranie części jego bodźców, resztę pozostawiając za okiem. To, co widziałam, docierało do mnie zawsze najłatwiej, nawet gdy wtyczka całego systemu była wyciągnięta z kontaktu. To, co czułam, leżało natomiast jedynie na powierzchni mojego ciała i gdy mnie na przykład coś swędziało, to w jakimś sensie o tym wiedziałam, ale wcale nie musiałam wychodzić po odbiór tego swędzenia, więc się nim nie przejmowałam.

Lekcje szycia stały się czymś, co trzeba było jakoś przecierpieć, mimo że właściwie lubiłam szyć. Siedziałam tam tylko

Pochyliłam się, by sprawdzić, czy żyje, a wtedy drapnęła mnie w twarz. Coś się wówczas stało w moim wnętrzu, straciłam panowanie nad sobą, chwyciłam ją za włosy i zaczęłam walić jej głową o podłogę. Takie to było łatwe, zupełnie jakby ta głowa była luźno przyczepiona do szyi. Waliłam aż do chwili, w której na parkiecie pod głową mamy pojawiła się kałuża krwi. Było zupełnie tak, jakby moja ręka ruszała się automatycznie – ani o niczym nie myślałam, ani niczego nie czułam. Tylko działałam.

Później ogarnęło mnie przerażenie. Do tej pory prawie nigdy nikogo nie skrzywdziłam, w ogóle, i nie chciałam być kimś, kto wyrządza ludziom krzywdę. Zaczęłam bać się samej siebie i przerażało mnie to, że odczuwam raczej obrzydzenie – bo trzymam w dłoniach jej brudne, tłuste włosy i mam na sobie jej krew – niż troskę o to, czy ona żyje. Stało się dla mnie jasne, że muszę się wyprowadzić.

Jesienią spotkałam Jona. Miał mieszkanie, a ja potrzebowałam jakiegoś miejsca do życia. Zaopatrywałam go we własnoręcznie wyhodowaną trawkę i wkrótce zostaliśmy parą. Wprowadziłam się i zamieszkaliśmy razem na dwudziestu metrach kwadratowych. Miałam szesnaście lat, a on siedemnaście. Nie miałam bladego pojęcia na temat pracy ani domowych finansów, nie wiedziałam nic o rachunkach ani o płaceniu czynszu. Nie wiedziałam, jak to wszystko funkcjonuje. Jon nie był szczególnie zachwycony tym, że się do niego wprowadziłam, ale ja byłam gotowa dopasować się do każdej sytuacji, żeby nie musieć wprowadzać się z powrotem do mamy. Mogłam się stać kimkolwiek – kimś innym lub kompletnie nikim – bylebym tylko nie musiała wracać do domu. Jon mi to wytknął, powiedział, że zamieszkałam z nim tylko po to, by nie mieszkać u siebie, ale ja temu stanowczo zaprzeczyłam. Miał faktycznie rację, ale ja o tym nie wiedziałam – starałam się po prostu przeżyć.

Próbowałam stać się prawdziwym człowiekiem poprzez zamieszkanie z kimś, ale nie wiedziałam, jak się żyje w związ-

ku. Nie wiedziałam, co się powinno robić z osobą, z którą się weszło w związek. Stawałam się coraz bardziej milcząca i coraz bardziej odgradzona. Na zwykłym byciu razem, czyli na tym, czemu pewnie oddawały się inne pary, kompletnie się nie znałam. Zupełnie jakby brakowało mi ustawienia na stan gotowości, „stand-by”. Miałam tylko „on” i „off”, włączona i wyłączona, żadnych stanów pośrednich. Czasami byłam jak niema i nie potrafiłam się odezwać. Być może nie popadałam w taki stan częściej niż przedtem, ale teraz, gdy próbowałam dzielić życie z drugim człowiekiem, stało się to takie wyraźne. Moje niemożliwości wypadały bardzo jaskrawo na tle możliwości Jona. Moje słabości wywoływały w nim sadystyczne reakcje. Czasami złościło go wszystko, co robiłam, i wylewał na mnie swoją irytację. Ja tymczasem wszystko inkasowałam bez sprzeciwu i chyba właśnie to, że wyglądało, jakbym nawet nie rozumiała jego złośliwości, jeszcze bardziej prowokowało jego wewnętrzznego sadystę do częstszego wychodzenia na zewnątrz. Przyzwyczaiałam się do tego, a zresztą na ogół było dość spokojnie, czyli – moim zdaniem – dobrze. Nie za bardzo wiedziałam, jak mogłoby wyglądać dobre życie. Wszystko, co było różne od tego, co było w domu, z mamą, uważałam za dobre.

Nasz związek był w pewnym sensie koleżeński, ale nie było w nim prawdziwego ciepła ani bliskości. Mnie nie brakowało tej części związku, bo nawet nie wiedziałam, co to jest. Miałam tylko to mgliste poczucie pustki.

– Jesteś jak mebel – mówił Jon. – Nie robisz nic sama z siebie, można cię dowolnie popychać i przestawiać.

– Tak jakbyś nie była człowiekiem – powiedział. – Jesteś jak jakiś przedmiot.

Może i miał rację, jednak podczas naszego związku nauczyłam się paru nowych rzeczy o świecie. Nauczyłam się, jak to jest być dorosłym, zapoznałam się z rachunkami i opłatami za wynajem, a na dodatek zdobyłam dostęp do nowego świata książek. Zawsze dużo czytałam, ale na regale Jona stały książki, jakich

nie widziałam nigdy przedtem. Książki o niesamowitej i niezna-nej mi zawartości. Przeczytałam wszystko, co tam stało. Czyta-łam Sartre'a, Dostojewskiego, Kafkę i Camusa i rozpoznawałam u nich siebie samą. Było tam wykluczenie, lęk, samotność i całe litry pustki. Nie był to dokładnie mój rodzaj pustki, ale światy opisywane przez tych pisarzy zdawały się podobne do mojego. Czytałam książki Charlesa Bukowskiego, Williama Burroughsa i Jacka Kerouaca, które wprawdzie nie pokazywały mojej rze-czywistości, ale za to były konkretne i bezpośrednie. I nie ukry-wały brzydoty. Podobało mi się, że oni pisali *tak jak jest*.

Jon palił dosyć dużo haszyszu, ale ja musiałam przestać, bo zaczęłam się po nim źle czuć. To się Jonowi nie podobało, gdyż w jego oczach byłam „załatwiczem”, to znaczy kimś, kto mógł w razie potrzeby załatwić haszysz albo trawę. Było to wpisa-ne w tę rolę, z którą weszłam w jego świat. Teraz jednak nie miałam już odpowiednich kontaktów, wyslizgnęłam się z osie-dłowej grupy równie niepostrzeżenie, jak kiedyś do niej dołą-czyłam. Przypuszczalnie nikt tam nawet nie zauważył, że znik-nęłam. Nie miałam żadnych numerów telefonów potrzebnych do załatwienia narkotyków, nigdy aż tak dobrze tych ludzi nie znałam. To, że przedtem mogłam kupować narkotyki, wyni-kało z faktu, że obracałam się w odpowiednich kręgach. Teraz mieszkalam w centrum miasta i odkąd się tu przeprowadziłam, nie jeździłam na nasze osiedle. Miejsca, w których można było kupować narkotyki, oczywiście często się zmieniały, więc utra-ciwszy kontakty nie wiedziałam już, dokąd trzeba pójść, żeby móc kupić haszysz. Czułam, że Jon chciałby, żebym była inna, że kiedyś myślał, że jestem inną osobą. Czasami mówił mi, jaka powinnam być, ale nie wiedziałam, co mam zrobić, żeby się taką stać.

Jon zrywał ze mną kilkakrotnie, ale ja się go uczepiłam. Nie miałam przecież nic innego na całym świecie, żadnej rodziny, ani nie miałam dokąd pójść. Próbowałam wytepić siebie w so-bie, żebym mogła zostać i żeby Jon mógł ze mną wytrzymać. Po-

mnie na poziomie emocji. W zasadzie to ono w ogóle do mnie nie przemawiało.

– No... Może – odpowiadałam i znowu zaczynałyśmy od początku.

Terapeutka często mówiła o tym, co myślą i czują małe dziewczynki, ale ja nigdy nie potrafiłam rozpoznać siebie samej w tym, co ona mówiła. Mimo to wierzyłam bardziej w jej słowa niż w swoje własne odczucia. Ona była przecież ekspertem, a ja pewnie najzwyczajniej zapomniałam o wszystkich tych emocjach, które według niej odczuwają małe dziewczynki.

Teraz wiem, że tak po prostu jest – ozdoby wywołują we mnie uczucie silnego dyskomfortu, i to prawdopodobnie przypadek, że odczucie to pojawia się właśnie w kontakcie z ozdobami i pewnymi rodzajami guzików. Niektórzy inni ludzie z zaburzeniami podobnymi do moich również odczuwają pozornie niewytłumaczalny lęk przed czymś szczególnym. Nie jest to poza tym aż takie niezwykle, by czyjeś ciało reagowało w dziwny sposób, jak na przykład w moim przypadku mdłościami, na co inni ludzie w ogóle nie reagują.

Jednym z problemów ze spojrzeniem na człowieka w koncepcji psychodynamicznej może być to, co mawiała moja terapeutka: „Wszystko da się zrozumieć”.

Właściwie nie wiem, co na ten temat sądzić – czy miała rację, czy nie. Być może rzeczywiście wszystko da się zrozumieć, ale do tego potrzeba według mnie większej wiedzy niż ta, którą zdolny jest opanować jeden człowiek, nawet najbardziej wykształcony i doświadczony.

Zwykle bycie uprzejmą wymaga ode mnie nieustannego wysiłku. Zupełnie jakbym w ogóle nie była w stanie zautomatyzować tych wszystkich standardowych formułek. Nie mam pojęcia, jak to jest możliwe, że inni ludzie potrafią automatycznie odpowiadać „Dziękuję, nawzajem”, gdy ktoś im życzy udanego weekendu lub wesołych świąt. Ja muszę się przez cały czas za-



stanawiać i pamiętać, jakich odpowiedzi się ode mnie oczekuje, i czasami, gdy jestem trochę zmęczona, zapominam o nich i udzielam komuś długiej i szczegółowej odpowiedzi na pytanie o to, jak się czuję. No i zapominam o odwzajemnieniu się pytaniem o to, jak ta druga osoba się czuje. Rzecz w tym, że jeśli nie myślę intensywnie, jak powinnam postąpić, to postępuję w sposób dla mnie najzupełniej logiczny – zakładam, że nikt nie pyta o coś, co go nie interesuje.

Odróżnianie jednego rodzaju pytania „Jak się masz?” od drugiego rodzaju „Jak się masz?” i podjęcie decyzji o stopniu szczegółowości odpowiedzi też wymaga ode mnie nakładu pracy. Wydaje mi się, że często odpowiadam z większą szczerością, niż chciałby tego zadający pytanie. No i czasami czuję się zbita z pantafyku, gdy pytam kogoś, jak się czuje, a później otrzymuję od niego to samo pytanie. Osoba, którą pytam, wyczuwa zapewne, że ja naprawdę jestem zainteresowana jej samopoczuciem, więc udziela mi najpierw szczegółowej odpowiedzi – i z tego jestem zadowolona. Nic na to jednak nie poradzę, że razi mnie, gdy ta osoba później odruchowo odwzajemnia mi się tym samym pytaniem, nie będąc tak naprawdę zainteresowana moim samopoczuciem.

Po wysłuchaniu dokładnego sprawozdania na temat samopoczucia mojego rozmówcy nie mam za bardzo ochoty na to, by zaczynać mówić o sobie. Ciekawa jestem, czy inni ludzie mają na to chęć. Wydaje mi się, że nie, a jednak dokładnie takiego zachowania się od nich oczekuje. Czuję się czasem zmęczona wewnątrz – macie takie dziwne zasady w tym waszym świecie! A ja muszę się na nich przez cały czas koncentrować, koncentrować i jeszcze raz koncentrować.

KONIEC